

Zagadnienie kadencyjności

27 lutego 2025

Lata wyborcze przynoszą ożywienie politycznej debaty. Dosłownie spod dywanu wyciągane są różne zagadnienia, podnoszone czy to przez partie polityczne, czy kandydatów na niby-najważniejszy urząd w państwie. A zwłaszcza wysoka temperatura takich sporów politycznych ujawnia się szczególnie w dwóch przypadkach – kiedy są wybory prezydenckie albo kiedy są zarówno wybory prezydenckie i parlamentarne. Wówczas nawet ludzie nie nawykli do debat bardziej doktrynalnych, zazwyczaj przejmujący się tzw. bieżączką polityczną, zaczynają uczestniczyć w zrodzonych ex nihilo sporach.

Ostatnio rozmawiałem z dobrym znajomym. Stwierdził, że jego rodzice znaleźli optymalne panaceum na rozwiązanie wszelkich problemów ustrojowych. Jest to mianowicie kadencyjność. Krótkie kadencje, maksymalnie cztery lata, no i maksymalnie dwie kadencje. Później to już bowiem jest rozsiadanie się na stołku, zaczyna się nepotyzm. Takie rozwiązanie ma doprowadzić do rotacji elit politycznych. Fakt, od ponad trzydziestu lat oglądamy w polityce te same mordy. One są co najwyżej starsze i bardziej pomarszczone, a w niegrzeszącym inteligencją spojrzeniu rzeczonych facjat widać większe zmęczenie. I taki pomysł pozornie wydaje się być bardzo dobry. Tylko pozornie.

Sam powiem wprost, żaden ze mnie demokrat, żaden republikanin; jestem monarchistą, z czym kryć się nie mam zamiaru. A w demokratycznym cyrku z racji pewnego zainteresowania polityką uczestniczę. Jestem zwolennikiem postawy proaktywnej, a nie zamknięcia się w swoim gabinecie i studiowania dialogów Platona czy żywotów świętych. Również zdaję sobie sprawy, że sił mogących przywrócić ustrój monarchiczny, a przynajmniej rozsądny autorytaryzm jest niewiele. Ani na armię nie ma co liczyć, ani na na narodowców, ani na żadne Fascio di Combatante. Nawet jak kiedyś były śpiewanki: „Donald matole! Twój rząd obalą kibole”; na nich

też nie ma co liczyć. Pozostaje zatem popierać takie reformy ustroju, jakie mogą przybliżyć nas do tej formy. Stąd zatem kiedy słyszę kadencyjność, rotacja polityków. Hmm... pożegnanie takich Donaldów czy Jarosławów byłoby w sumie rozwiązaniem dobrym, przynajmniej wyprawienie ich na polityczną emeryturę. Niemniej jednak, czy wiązałoby się to z czymkolwiek lepszym?

Obawiać się należałoby innego wariantu.

Przede wszystkim wchodzący do polityki wiedziałby, że ma niewiele czasu, żeby załatwić swoje sprawy, ale także wszystkich pociotków. Zmiana ustrojowa, jaka miała okazać się panaceum, okazałaby się tragedią. Takie pośłęcie (gra słów od „poseł” i „oseł” – przypis WM), wiedząc, że ma tylko dwie kadencje, kradłby na potęgę. To osiem złotych za dorsza, wytropione onegdaj przez Julię Piterę, byśmy wspominali z rozrzewnieniem. A nawet grabież trzystu milionów z NFZ przez Neumanna i koleżków byłaby niczym, przy tym co by się wówczas wyprawiało. Co dopiero mówić o premierze czy ministrach. Ci musieliby w maksymalnie krótkim czasie obdzielić wszystkich swoich pociotków gażami i stanowiskami. Tych ministerstw zrobiłoby się ponad trzydzieści. A ile by było urzędników! Przecież każdemu należałoby coś dać, nawet chłopakom i dziewczętom z młodzieżówki. Każdy pretorianin musiałby być nagrodzony, inaczej mógłby bowiem zbiec do politycznych przeciwników, licząc na docenienie swoich zasług. Nie na darmo jak za czasów monarchicznych, tych feudalnych, król czy inny władca nadawał ziemię, lenna oraz tytuły, tak za czasów demokratycznych nadaje się instytucje oraz urzędy. Stąd ten model krótkich ograniczonych kadencji doprowadziłby do tego, że każdy chciałby się maksymalnie nachapać. Wziąć jeszcze trzeba pod uwagę tutaj spółki Skarbu Państwa. Te – mimo poniekąd strategicznego znaczenia ekonomicznego – byłyby wiecznie deficytowe, nie miałyby żadnej strategii rozwoju, bo ta by się zmieniała co cztery lata. A takie wielkie rządowe firmy to potrzebują mieć plany na dekady. Do tego wszelkie dywidendy zostałyby wyssane przez pociotków – tych miernych,

biernych, ale wiernych aktualnie rządzącej formacji.

Przecież osoba przychodząca na jedną czy dwie kadencje w ogóle nie będzie uważała się, że jest za cokolwiek odpowiedzialna. Z racji długości tych kadencji również obserwujemy, że dzieje się tak obecnie. Jeżeli dany polityczny błąd ma skutek bardziej długofalowy, to próbuje się go zrzucić na poprzednią ekipę albo na następną. Tak na przykład niedawno PiS próbował się wyłgać z poparcia trockistowskich wymysłów w postaci Zielonego Ładu, zganiając to na Tuska. Więcej tak dziesięć lat temu platfusy potrafiły być tak bezczelne, że jeszcze w tamtych czasów dopatrywały się win PiS, którego nie było już u władzy od 2007 roku. Co to po prostu nie wiadomo, czy śmiać się czy płakać. Politycy w przypadku krótkich kadencji mogą kompletnie umywać ręce od swoich poczynań. Odpowiedzialność ulega rozmyciu. A w przypadku jeszcze krótkich kadencji, to będzie zawsze można zrzucić na kogoś innego.

Innym błędem myślenia jest ukrócenie nepotyzmu. Przecież jeżeli ktoś się dorwie do strumienia pieniędzy, to moment będzie musiał wszystkim wokół je zacząć dawać. To wiadomo, że będzie jeszcze szybszy przyrost stanowisk, biurokracji, generalnie przysłówiowych „stołków”. Ale to nie oznacza, że na tym się skończy. Przecież wraz z końcem kadencji trzeba będzie załatwić miękkie lądowanie. Wymyśli się zatem kolejne instytucje, a przynajmniej hojnie dotowane z państwowej kiesi NGO. Sposobów jest mnóstwo. Głoszenie zatem kadencyjności świadczy zatem o wielkiej naiwności. Ktoś może przytoczyć tutaj Marka Twaina, że polityków i pieluchy należy wymieniać szybko z tego samego powodu. Niemniej jednak zapomni o jednym. To, że nie widzi danego politruka w ekranie telewizora, to nie znaczy, że ten się postanowił rozpuścić w powietrzu. Nadal może utrzymywać takiego trutnia, bo taki będzie miał intratną posadkę w spółce Skarbu Państwa, zostanie mianowany jakimś wysokim urzędnikiem, jak ma wykształcenie prawnicze, to może wyląduje w jakimś śmiesznym trybunale (zwłaszcza w Trybunale Stanu, bo tam będzie brał pieniądze za

bumelowanie). Fucha zawsze się dla takiego znajdzie i to może nawet bardziej płatna i intratna niż poseł czy minister.

Stąd rozwiązanie jest inne. Limit kadencji prezydenta można na przykład spokojnie wyrzucić. Ale wydłużyć kadencje prezydenta i parlamentu. Prezydencka, żeby trwała tak dwanaście lat, a parlamentu osiem. Wówczas duża silna partia polityczna mogłaby coś zrobić. Taki Populizm i Socjalizm nie mógłby się obrażać na cały świat jak w latach 2005-2007, a później gadać, że wszystko to wina najpierw Tuska i PO, a później „gówniarzy”, „alkoholowej pajdokracji”, „gości pijących piwko i oglądających pornosy”, „ruskich agentów”, „ruskich onuc” i „złodziei głosów”. Tak samo takie PZPO nie mogłoby się obrażać, że wszystko to wina PiS, a poza tym to krecia robota „moherowych beretów” oraz „faszystów”. Po prostu mieliście swoje szanse i ich nie wykorzystaliście. W tak długim odcinku czasu ciężko jest przerzucić na kogokolwiek odpowiedzialność za swoją nieudolność.

Warto zwrócić uwagę, że jeżeli komuś przyjdzie rządzić dłużej, będzie rządził w sposób bardziej odpowiedzialny. Ujawnia się tutaj kwestia preferencji czasowej, zagadnienia omawianego przez Hansa Hermanna Hoppe w dziele Demokracja. Bóg, który zawiódł. Zauważa on tam, że monarchia czy autorytaryzm jest z reguły skutecznie zarządzana, ponieważ szef takiego interesu ponosi osobistą odpowiedzialność. Stąd podejmuje decyzje w sposób bardziej roztropny. Natomiast demokratyczne rządy nie niosą ze sobą żadnej odpowiedzialności. Stąd zazwyczaj dużo gadają i nic nie robią albo wszystko psują. Powiększają rozmiar biurokratycznego rozpasania oraz socjalnego rozdawnictwa. Koniec końców jest jak w słynnym powiedzeniu Kisielewskiego: to, że jesteśmy w czarnej dupie, to wiadomo. Gorzej, że zaczynamy się w niej urządzać.

Stąd jedyną szansą na poprawę ustrojów republikańskich czy demokratycznych jest właśnie wydłużanie kadencji. Wówczas jasno widać, kto co zrobił, nie da się oszukać. I żeby prezydent był wybrany po tych dwunastu latach na kolejną

kadencję, to musiałby być naprawdę dobry. Podobnie premier po ośmiu latach. Dodać należałoby, że jeżeli prezydent i premier należeliby do zwaśnionych grup parlamentarnych czy światopoglądowych, to – będąc zmuszonym do długiego stadła, co najmniej ośmioletniego – musieliby ze sobą jakoś na ten czas spróbować dogadać. Jeszcze zadać sobie pytanie należy, czy po dwunastu latach prezydentury wielu nie miałoby zwyczajnie dosyć. Przecież Krzyż Wielki Orderu Polonia Restituta już ma, należne apanaże też, może zatem odejść. A jakby ktoś rządził dwie kadencje, to prawie ćwierć wieku. Nieraz się zdarzało, że monarchowie tyle panowali za starych, dawnych czasów. I to już zmusza do innego myślenia. Tacy politycy bowiem serio stają się odpowiedzialni przed Bogiem i historią, jak to było powiedziane jasno w konstytucji kwietniowej. Rządząc tak długo, nie sposób nie kształtować rzeczywistości. Samym nieróbstwem można bowiem wyprowadzić swoich oponentów z letargu. W zasadzie taki ustrój demokratyczny czy republikański bardzo zbliży się do formy monarchistycznej, czy autorytarnej.

Do tego wszyscy ci gadający o kadencjach zapominają jeszcze o jednym. Co widać, a czego nie widać, jak to mawiał Frederic Bastiat. Politycy się będą zmieniać, a ci pociągający za sznurki nadal będą pozostawali tymi samymi. Ich władza przez to będzie jeszcze większa, ponieważ będą mogli przebierać jeszcze wydajniej w swoich kukiełkach. Ci wielcy demokraci – od krótkich kadencji i od limitów – zapominają o istnieniu struktur głębokiego państwa. U nas jakoś to tak obdzielono, że mamy bandę czworga, a czasem pięciorga. Ta mityczna kadencyjność wcale nie spowoduje erozji tej schowanej przed naszymi oczami superstruktury. Ci władcy kukiełek będą jeszcze potężniejsi. Również ze względu na liczne roszady personalne trudniej będzie się można domyślić ich istnienia, będą mogli być traktowani w kategoriach teorii spiskowych jak reptilianie czy wpływ Żydów i masonów na rządy.

Stąd gadanie o kadencyjności należy włożyć między bajki.

Wprowadzanie takich rozwiązań to jedynie przepis na pogłębienie klęsk – jak jeszcze więcej administracji, państwa opiekuńczego i wszechwładzy prawnej. Podobnie też jeszcze większa samowola i beczelność polityków niebędących już de facto za nic odpowiedzialnych. A do tego jeszcze znika zupełnie jakakolwiek widoczność superstruktury, starych kiejkutów czy deep state; jak zwał, tak zwał. Lepiej włożyć jest tę kadencyjność między bajki i popierać realne zmiany ustrojowe. Jak całej konstytucji z 1997 roku nie można wyrzucić do kosza i przegłosować nowej, to chociaż zmienić treść artykułów dotyczących długości kadencji parlamentu, długości kadencji prezydenta oraz ilości dopuszczalnych kadencji. A to ani nie jest irracjonalne, ani nierealne.

Autorstwo: Erno

Źródło: WolneMedia.net